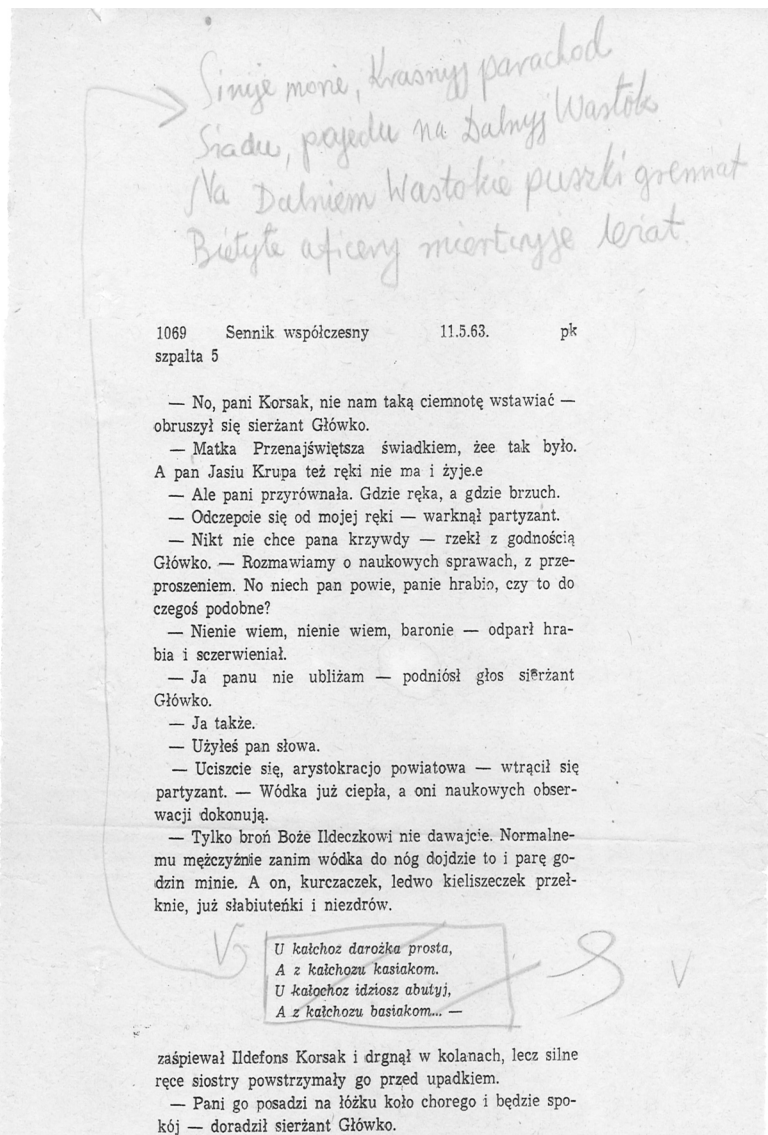


„SZCZOTKI” CENZORSKIE Sennika współczesnego

„Sprawozdanie z kontroli prewencyjnej nr 20” w teczce „Ingerencje pozycji książkowych. Iskry 1963”
AAN, GUKPPIW, sygn. 797, k. 116–124.



1069 Sennik współczesny 11.5.63. pk
szpalta 5

— No, pani Korsak, nie nam taką ciemnotę wstawiać —
obruszył się sierżant Główko.

— Matka Przenajświętsza świadkiem, że tak było.
A pan Jasiu Krupa też ręki nie ma i żyje.

— Ale pani przyrównała. Gdzie ręka, a gdzie brzuch.

— Odczepcie się od mojej ręki — warknął partyzant.

— Nikt nie chce pana krzywdy — rzekł z godnością
Główko. — Rozmawiamy o naukowych sprawach, z prze-
proszeniem. No niech pan powie, panie hrabio, czy to do
czegoś podobne?

— Nienie wiem, nienie wiem, baronie — odparł hra-
bia i szczyrniał.

— Ja panu nie ubliżam — podniósł głos sierżant
Główko.

— Ja także.

— Użyłeś pan słowa.

— Uciszcie się, arystokracjo powiatowa — wtrącił się
partyzant. — Wódka już ciepła, a oni naukowych obser-
wacji dokonują.

— Tylko broń Boże Ildeczkowi nie dawajcie. Normalne-
mu mężczyźnie zanim wódka do nóg dojdzie to i parę god-
zin minie. A on, kurczaczek, ledwo kieliszeczek przeł-
knie, już słabiuteńki i niezdrowsi.

U kałchoz dorożka prosta,
A z kałchozu kasiakom.
U kałchoz idziosz abutyj,
A z kałchozu basiakom... —

zaśpiewał Ildefons Korsak i drgnął w kolanach, lecz silne
ręce siostry powstrzymały go przed upadkiem.

— Pani go posadzi na łóżku koło chorego i będzie spo-
kój — doradził sierżant Główko.

— Przecież byłem żołnierzem — mówię i czuję jakąś niestosowność tego określenia, jakieś potępienie rodzące się raptownie na sali. — Byłem żołnierzem — powtarzam bezradnie — więc strzelałem.

— Iu zabiliście naszych ludzi?

Sięgam po pustą szklankę i odstawiam ją w to samo miejsce.

— Potyczki zdarzały się zwykle nocą. Strzelałem do tych, co byli przede mną, ale nie wiedziałem, czy ich trafiłem, czy ranilem, czy zabiłem.

— Konkretnego wypadku zabójstwa nie pamiętacie?

Jego biała twarz tkwi natarczywie pośrodku ciemnej ściany. Wiem, że patrzy mi w oczy i wiem, że nie do wierza.

— Tak, zdarzył się taki wypadek. Otrzymałem rozkaz wykonania wyroku.

— To znaczy zastrzelenia człowieka?

Przestępuję z nogi na nogę i opieram się z całych sił o mównicę.

— Tak — mówię. — Tak.

— Kto to był?

— Nie wiem. Otrzymałem tylko adres i opis tego człowieka.

— Jak on wyglądał?

Wstaje sekretarz.

— Czy to konieczne?

Tamten pośpiesznie błyska zębem.

— Dla mnie tak. To są poważne sprawy. Mam chyba prawo wszystko wiedzieć do końca?

Sekretarz siada i patrzy na mnie.

— Mieszkał w odosobnionym domu koło kolei. Trudno mi coś powiedzieć, bo to była noc. Zapamiętałem tylko, że wysoki o ciemnych włosach, miał oliwkową cerę i wydatne usta...

Słyszę raptowny rumor odsuwanego krzesła. Dopiero teraz spostrzegam, że za mną jest stolik protokolanta usłany kartkami pośpiesznie zapisywanego papieru. Obok niego chwije się kobieta o białych włosach i rozszerzonych histerycznie oczach. W jej rękę drży ołówek kopiowy.

— To mój mąż... Tak zginął mój mąż — szepcze.

Odwracam się do niej, stoję teraz tyłem do sali.

— Ja go nie zabiłem — mówię.

— Wyjaśnijcie bliżej — odzywa się sekretarz i wstaje, jakby chciał mi pomóc. — To bardzo ważne.

Przelykam gęstą ślinę, która nie daje się przelknąć.

— Miałem rozkaz zabić, ale go nie zabiłem.

— Czyli nie wykonaliście tego rozkazu? — podpowiada sekretarz.

— Wykonałem. Musiałem wykonać.

— No to jak? — denerwuje się sekretarz. — Zabiliście, czy nie zabiliście?

Szukam odpowiednich słów patrząc na nogi kobiety obute w ciężkie buciory lśniące wilgocią.

— Strzeliłem. Strzeliłem tak, żeby nie zabić.

Kobieta wybucha płaczem. Odwraca się tyłem do nas wszystkich i płacze w rękaw. Lewą ręką szuka na osłep torebki, której nie ma na stole.

— Co to znaczy, że strzeliliście nie zabijając? Skąd wiecie o skutkach tego strzału? — pyta z sali ten sam głos.

Słyszę raptowny rumor odsuwanego krzesła. Dopiero teraz spostrzegam, że za mną jest stolik protokolanta usiany kartkami pośpiesznie zapisywanego papieru. Obok niego chwieje się kobieta o białych włosach i rozszerzonych histerycznie oczach. W jej ręku drży ołówek kopiowy.

— To mój mąż... Tak zginął mój mąż — szepcze.

Odwracam się do niej, stoję teraz tyłem do sali.

— Ja go nie zabiłem — mówię.

— Wyjaśnijcie bliżej — odzywa się sekretarz i wstaje, jakby chciał mi pomóc. — To bardzo ważne.

Przełykam gęstą ślinę, która nie daje się przełknąć.

— Miałem rozkaz zabić, ale go nie zabiłem.

— Czyli nie wykonaliście tego rozkazu? — podpowiada sekretarz.

— Wykonałem. Musiałem wykonać.

— No to jak? — denerwuje się sekretarz. — Zabiliście, czy nie zabiliście?

Szukam odpowiednich słów patrząc na nogi kobiety obute w ciężkie buciory lśniące wilgocią.

— Strzeliłem. Strzeliłem tak, żeby nie zabić.

Kobieta wybucha płaczem. Odwraca się tyłem do nas wszystkich i płacze w rękaw. Lewą ręką szuka na oślep torebki, której nie ma na stole.

— Co to znaczy, że strzeliliście nie zabijając? Skąd wiecie o skutkach tego strzału? — pyta z sali ten sam głos.

— Wiem, bo nie chciałem zabić.

— Ale strzelaliście?

— Wiem na pewno, że nie zabiłem.

— A dlaczego nie chcieliście zabić, skoro poszliście wykonać wyrok?

Milczę. Kobieta odwraca się i siada z powrotem za stołem, okrywając niezdarnie twarz dłonią. Z ogromnym wysiłkiem staram się przypomnieć. I nie mogę. Wiele w życiu widziałem takich zdartych przez zgryzotę twarzy.

— Wtedy już nie chciałem zabić — powtarzam cicho.

— Ale poszliście z bandyckim zadaniem?

Stoję znowu twarzą do sali. Wiem, że już nie ma powrotu. Przeżywałem tę godzinę po wielokroć w bezsen-nych nocach, ale dziś przeżywam najciężej. Boli mnie głowa. Ręce są tak ciężkie, muszę je oprzeć o mównicę.

— Jednej nocy nasz patrol szedł do wsi po żywność. Złapali ich ludzie z bezpieczeństwa. Wzięli żywych. Łamali im ręce na drabinkach od sań, a potem oblewali wodą. Wtedy były silne mrozy. Nasi zamarli tak pośrodku wsi. Stali kilka dni. Później musieliśmy ich odra-
bywać od ziemi, wylamywać ciała z lodu.

— To nieprawda. Nasz tak nie postępowali! — krzyk-
nął ten z sali. — przyznajcie się, że kłamiacie.

— Ja nie kłamię.

— Propaganda. Bandycka propaganda.

— Sam widziałem.

Wstaje sekretarz. Przekłada chwilę ołówek na swoim stole.

— To tragiczne sprawy — mówi. I chyba nie tutaj o nich trzeba mówić.

— Właśnie — odzywa się ten z sali. — On musi podać wszystkie okoliczności. Jego oddział może do dzisiaj istnieć.

— Tak, tak, macie rację — zgadza się sekretarz. — To każdy rozumie, że kiedy się człowiek decyduje, musi wyciągnąć wszystkie konsekwencje ze swego postanowie-
nia, prawda?

Patrzy na mnie wyczekująco.

— Ja powiedziałem — mówię z męką. — Nie mam nic do dodania. Nie chcę pamiętać o tamtych czasach. Nie

H na zadanie
Wybili
wszystkich
co do
jednego.

ślicie, że jesteście lepsi od innych?

— Ale broń Boże, panie torowy. Ja mam wykształcenie domowe — rzekł skwapliwie Pac. — Tyle, że pisać i czytać umiem.

— A te książki po co w mieszkaniu trzymacie?

— Ja nie wiem, skąd się znalazły. Może ktoś podrzucił. Miałem trudne dzieciństwo, panie torowy. Skąd mi do uniwersytetów.

— Już wy mi tu się nie zapierajcie. Ja takiego gryzi-piórka od razu poznam.

— Tak, to prawda — westchnęła pani Malwina — od książek to niejednemu mózgi pomieszało. U nas, na wschodzie, był taki koło Ejszyszek, co całymi dniami książki czytał i czytał. A później raz odzywa się do ludzi, że ziemia kręci się nawokoło słońca. Śmieliśmy się z niego, biednego, i nie wiedzieliśmy, że w domu wariatów skończy. Bo jak przyszła wojna...

— Na krowę lepiej uważajcie — przerwał niechętnie torowy. — Już piąty placek położyła na szynach.

— Ach, Boże — przerwała pani Malwina i skoczyła żywo ku swojej żywiolę, która stała pośrodku torów z uniesionym ogonem.

Torowy chciał coś jeszcze powiedzieć, ale machnął tylko ręką z rezygnacją i poszedł w stronę swego biura, powłócząc nogą.

Partyzant patrzył za nim spluwając w dłonie.

— Ot, stara pierdoła rewolucji.

Torowy odwrócił się gwałtownie.

— Co mówicie, Krupa?

— Mówię: stara pierdoła rewolucji — powiedział głośno, ale niewyraźnie partyzant.

Hrabia chichotał gryząc stylisko kirki. Bał się objawić swoją radość, więc tylko podrygiwał spazmatycznie ramionami i patrzył wytrzeszczonym okiem na torowego, który jął bezmyślnie zapinać swój chałat.

— Nie słyszę, Krupa.

— To nic ważnego. Przy okazji powiem.

— Ja was dobrze znam, Krupa — rzekł bezradnie torowy. Chwilę wahał się, w końcu ruszył jednak do swojej kleci, oglądając się nieznacznie na nas.

Pani Malwina przyciągnęła nieposłuszną krowę i mocno zadyszana powiedziała:

— Nieładnie tak mówić o człowiek. On jaki jest, taki jest, ale swoje przeżył.

Partyzant wrócił do pracy, hrabia Pac uczynił to samo, poprawiwszy przedtem z kokieterią swoje zlepione włosy.

— Pan nietutejszy — rzekła do mnie Korsakówna. — Pan nic nie wie. A on podczas wojny w komunistycznej partyzantce był i w tutejszych lasach bił Niemca. Potem, jak nastali jego czasy, to rządził całym miasteczkiem. A później, panie, poszedł do góry, do miasta wielkiego wyjechał. Srogi, och srogi był do ludzi. Może dlatego, że rodzinę mu źli ludzie wybili. I żył tam gdzieś w mieście na wielkiej posiadzie, ale później wrócił. Odprawili go, bo podobnie wykształcenia wielkiego nie posiada. Tak to i jest.

Szyny, pod uderzeniem kirek, dzwoniły czysto i przejrzysto. Ich śpieszny głos wypełniał ciasno drzemającą dolinę.

— Tak to i jest — powtórzyła pani Malwina. — Dziwny człowiek, oj dziwny. W sobotę, bywa, jak wyjdzie, to wróci w poniedziałek. Gdzie chodzi i po co, nikt nie wie. Jedni mówią, że mogiłę nawiedza, inni plotą, że wódkę w samotności pije. Tak to i jest.

Słuchając śpiewnego i trochę sennego zawodzenia pani Malwiny błakałem się wzrokiem po dolinie przesyconej szarym pyłem. Spostrzegłem wtedy nieoczekiwanie jakiś w miarę ruchliwy obiekt wynurzający się z nadrzecznych krzaków. Był to Romuś. Jego ewolucje zdradzały jednak stan silnego wzburzenia. Przypominał w tych manipulacjach waleczącego z wartkim nurtem rzeki.

H S

H S

Z H fajca

H fajca

kliwie na palcach, odpowiada mu podobnie ktoś z ostatnich snów.

Mimowiednie zdejmuję czapkę.

— Wiozę chłopców od Kmicica — mówię. — Złapali ich przedwczoraj i zamrozili w jeziorze. Wiozę teraz po wsiach na postrach.

Sanie najeżone zeszytywniałymi ramionami i bosymi stopami, na których mieni się odbite w lodowej skorupie światło księżycy, zanurzają się w lesie.

Oni także zdejmują czapki. Cichy zaczyna żegnać się szeroko, z ruska. Bije pokłony zamrożonym partyzantom, czyni to z jakimś zwierzęcym zapamiętaniem niczym kornajacy nosorożec, który kuje łbem obojętną ziemię.

Trwamy tak długi czas, choć pochod pogrążył się już dawno w lesie.

— Zrobią i nam anumlik — powiada półgłosem Cichy. Wiem, że z nim już niedobrze.

Wstają z kłęczek i bez ochoty wracamy na drogę, a potem dalej przed siebie w szpalerze wilczego wycia.

Przed czwartą weszliśmy na odgałęzienie drogi wiodącej do folwarku. Sokół schylił się nad stratowanym śniegiem.

— Opony — mówi. — Tędy jeździły niedawno ciężarówki.

— Pewnie przyjeżdżają po mleko.

Milknie, ale wiem, że nie jest przekonany. Idziemy coraz ostrożniej wzdłuż nagich krzaków olszynowych ku kępie drzew, wśród których skryty śpi folwark. Stawiamy stopy lekko jak ptaki. Gdyby to było możliwe, poszybowałibyśmy wysoko nad tą śnieżną drogą.

W niewidocznych zabudowaniach odzywa się pies. Oczywiście przystają natychmiast.

— Do księżycy szczeka — powiadam. — Czego stoicie?

— Gdzie masz księżyc? — Sokół wskazuje niebo.

Rzeczywiście. Obrzeżone światłem chmury zakryły już połowę nieboskłonu.

Ruszamy dalej. Gałęzie czepiają się kożuchów. Ociężała senność przyniata plecy. Zасыpiam na ułamki sekund i wtedy jawią się fragmenty dzieciństwa, zdarzeń domowych wypełnionych ciepłem i spokojem.

Sokół staje. I milczy.

— Co znowu? — pytam.

— Widzę światełko — powiada ze złością.

— Gdzie?

— Tam, pod tym drzewem.

Stoimy chwilę nieruchomo.

— Aha, jest — mówi Cichy.

— Ja nic nie widzę.

— Trzeba poczekać, aż zaciągnie się dymem, wtedy zaryzykuje się papieros.

Mają rację. Przez moment mignął czerwony punkcik utopiony w czerni drzew. Namyslałem się krótko.

— Trzeba iść. Musimy sprawdzić. Może nam się wydaje. A może to stróż nocny.

Milczą i w ich milczeniu jest niechęć bliska nienawiści.

— Ślady ciężarówek i wartownik, który pali papierosa. Mało ci? — pyta szeptem Sokół.

Odwracam się, idę ku zabudowaniom. Wiem, że mnie nie zostawią. Znowu błyska krwistym różowym obłoczek pod drzewem. I wtedy nagle chwytam uchem jakby stłumiony płacz wielu ludzi.

Zaczynam pełznąć w kierunku tego ognika. Chronią mnie olszyny, lecz dalej niepodobna już czołgać się, czerwony kłęb pojawia się o kilka kroków ode mnie. Rozróżniam nawet głuche przytupywania nóg obutych w walonki, słyszysz szcęk pepeszy o metalowe guziki.

Odwracam się i szukam mego patrolu. Ale dokoła tylko śnieg i nagie witki olszyn. Czyni się coraz ciemniej.

Muszę ryzykować.

— Sokół, Cichy! — syczę osłoniwszy usta dłonią.

— Pan wie, o co mi chodzi — powiedziałem z trudem. Uśmiechnął się krzywo. Widziałem, że jego lewy policzek zaczął drgać pośpiesznym skurczem. Oczy rozszerzyły się, lyskając żółklymi białkami.

— Chcesz, żebym ci powiedział, że to ja jestem tym człowiekiem, którego spotykałeś ciągle w swoim życiu.

— Tak, chcę tego.

— Więc dobrze. Pokażę ci ślad twojej kuli — sięgnął ręką do rozcięcia koszuli na piersiach. — Opowiem, jak leżałem ranny na podłodze i słuchałem płaczu dziecka. Jak moje wołanie przechodnie brali za krzyk biesiadnika świątecznego stołu. ~~Jak zajęchali przed moim domem anka-
wudziści, którzy w saniach wieżli zamarznętych party-
zantów Kmicica. Jak jechałem do powiatu wśród złodo-
waciących trupów zlizując z ich rąk puch śnieżny, bo~~ męczyła mnie gorączka pełna majaków i zwidów. Przy-
pomnę ci wszystkie nasze spotkania, kiedy w twoich oczach widziałem zaszczucie podobne memu, kiedy prze-
czuwałem, że los nas złączy i będziesz mnie szukał do końca życia, jak ja szukam swego oczyszczenia.

— Byłeś kiedyś inny.

— Byłem i zawsze jestem ze słabszymi.

Słuchałem siebie zdziwiony, że nie odczuwam ulgi. Zda-
wało mi się, że w tym mrocznym pokoju wyczerpaliśmy
cały zapas tlenu i grozi na uduszenie.

— Czego chcesz jeszcze ode mnie? — spytał z trudem.

— Nie wiem. Chyba już nic. Choć zupełnie inaczej wy-
obrażałem sobie tę chwilę.

Za oknem tułał się głos klarnetu wymieszany z poszu-
mem rzeki. Podłużne pasmo blasku słonecznego dopeźli-
o już do drzwi do sieni i jęło się wspinać na szerniałe deski
sosnowe.

— Szukałem ciebie i jego od lat. Najpierw w pamięci,
potem w opowiadaniach ludzkich i w szpaltach gazet.
Każde nazwisko zdawało się waszym. Potem zacząłem
was szukać w małych miasteczkach podobnych naszemu,
które opuściliśmy wszyscy na zawsze. To, co dotychczas
przeżyłem, to garstka kamieni wydobytych z dna rzeki.
Będę je już na zawsze układał w coraz to nowe konste-
lacje i szukał sensu, który tym rządzi.

Gdzieś za ścianą przez chwilę tupotały czyjeś nogi. Spoj-
rzeliśmy obaj w okno. Przez zawijasy winogrodu sączył
się migotliwy żar pachnący spalenizną. Potem czekaliśmy,
aż otworzą się drzwi i w progu stanie ona. Trwało to
bardzo długo. Jego czoło pod czarną, kędzierzawą czupry-
ną pokryło się gęstym osądem potu. Ponieważ nic się nie
stało, więc zbliżyłem się do niego i wyciągnąłem rękę.

— Dziękuję ci — rzekłem i zabrakło mi naraz słów. On
jednak nie podał mi dłoni. — Dziękuję — powtórzyłem.

— Za co mi dziękujesz?

— Chciałem cię koniecznie spotkać.

Przyłożył dłoń do policzka, który trząsał się spazmatycz-
nie.

— Widzisz — rzekł chrapliwie. — Mógłbym cię okła-
mac i zostawić rzecz, jak jest. Ale przecież ty nie potrze-
bujesz łatwej pociechy, prawda?

Milczałem próbując rozerwać zlepione wargi. Serce za-
częło mi bić w pośpiesznej arytmii.

— Nie jestem tym człowiekiem, którego szukasz. Ponia-
waż widzę twój lęk i bezbronność, mógłbym z łatwością
upewniać cię, że uczestniczyłem w twoim życiu. Ale myślę,
że lepiej będzie, gdy rzeczywiście odnajdziesz to, co jest
ci potrzebne. Dlatego idź w dalszą drogę, może już jesteś
blisko.

— Klamiesz! — krzyknąłem.

Wyszczerył nagle zęby, jakby powstrzymując ogromny
ból.

— W każdym człowieku będziesz widział tych, których
skrzywdziłeś. Każda twarz wyda ci się znajoma, w każdej
odnajdziesz rysy zgrzyoty, której ty przysporzyłeś. Wiem,
co cię gna z miejsca na miejsce? Mam ci powiedzieć?

Schwyciłem go raptem za koszulę na piersiach, lecz on
rzucił się do tyłu z niesłychaną siłą i stał chwilę chwając
się, z wyszczerzonymi dziwnie zębami. Uderzał konwul-
syjnie dlonią uzbrojoną w linijkę po wymiętych spod-
niach, jakby chciał je otrzepać z prochu. Potem zabełkotał
i całym ciałem, jakimś kanciastym ruchem, zwałił się na
drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju. Drzwi chwilę
chybotwały, a potem przywarły do futryny.

szpalta szpalta 78

— Już ja znam waszą wilczą solidarność. Dlaczegoż ty skrywasz, że byłeś u Huniadego?

Partyzant wstał nagle zza stołu.

— Nikomu nigdy nie zdradziłem, słyszysz ty, enkawu-
dzista? Odszedłem wtedy, bo taki był rozkaz z Londynu.
Kto chciał, mógł wracać do domu.

— A nie szukał cię potem Huniady?

— Ciebie szuka dziś. Dlaczego nie nocujesz w swoim domu?

Pani Malwina schwyciła partyzanta za marynarkę i po-
ciągnęła z powrotem na krzesło.

— Panowie najmiłsi, po co zaraz ta polityka? Z polityki
nigdy nikomu nic dobrego nie przyszło. Ildeczek, dziecko
biedne, zaśpiewaj coś lepiej.

Ildefons Korsak, który ocknął się z ciężkiej zadumy, in-
stynktownie sięgnął po pełną szklaneczkę.

— Ach nie to, ty choreńki, lepiej zaśpiewaj panom.

— Czemu nie, mogę zaśpiewać, ale tylko po rosyjsku.

— Boże ty mój, czy ty innych pieśni nie umiesz?

— Nie.

— Po różnych wojskach służyłeś, tyle świata widziałeś,
a śpiewać tylko po rosyjsku potrafisz?

— Wszystkie ładne, ale ruskie najpiękniejsze — rzekł
z uporem pan Ildefons.

— Co tam czas marnować na pieśni — zawołała z ozy-
wieniem Korsakówna, widząc że brat sposobi się do wy-
stępów. — Lepiej wypijmy.

— No to abyśmy — odezwał się torowy modulowanym
przejmująco głosem.

Na chwilę rozmowy zamilkły i wtedy rozległ się loskot
furtki. Ktoś biegł szybko przez podwórze. Sierżant Głów-
ko, który nie zdążył jeszcze przełknąć wódki, schwycił
czapkę z parapetu okiennego i z niezwykłą wprawą scho-
wał się za kredens. Do izby wpadły dzieci, chłopczyk
z dziewczynką. Zatrzymały się przy progu porażone świa-
tłem lampy.

— Czy jest tata? Mama kazała, żeby zaraz wracał —
rzekł chłopczyk, obserwując ze znanstwem sponiewierany
już trochę stół.

Nikt nie mógł zdobyć się na odpowiedź, więc wszyscy
patrzyli sobie bezradnie w oczy. Wreszcie pani Malwina,
widząc krytyczną sytuację, odezwała się słodkim głosem:

— Nie było tu waszego ojca. Pewnie jeszcze na służbie,
biedny — i zakrzuszyła się straszliwie czy to trunkiem
własnego wyrobu, czy wymijającą odpowiedzią.

Dzieci powstały chwilę niezdecydowanie, częstowane przez
biesiadników fałszywymi uśmiechami, wreszcie znikły
w mrocznej sieni i potem słychać było tylko gwałtowny
tętent ich bosych stóp.

— Merci — powiedział ze smutkiem sierżant Główko
wylażąc zza kredensu. — Boże, Boże, co za hańba. Przed
własnymi dziećmi chować się po kątach... Ech, ta hara
przekłeta.

Siadł z rezygnacją z powrotem do stołu i sięgnął po peł-
ną szklaneczkę.

— No to abyśmy — odezwał się torowy, akcentując każ-
dą sylabę. Wlał płyn ostrożnie do gardła, z tradycyjną ele-
gancją, tak, aby grydka nie zagrała wulgarnie, i wysoko
uniósłszy głowę przymknął na moment powieki. Potem
otworzył je wolno, spuścił głowę i wstrząsnął się dmu-
chając siarczyste.

— Dziękuję za poczęstunek — rzekł i skłonił się obec-
nym głęboko. Przy okazji podniósł czapkę służbową z zie-
mi. — Ja to lubię tak trzy, cztery kieliszeczki.

I zaczął starannie przymierzać się do drzwi. W końcu
złapał równowagę, ustalił należyty kierunek, ruszył ostro
do wyjścia.

— Wcześniej zgorzał — stwierdził beznamiętnym gło-
sem partyzant.

W sieni zadzwoniły jakieś blachy. Pani Malwina uśmiech-
nęła się z wyrozumiałością.

— Wszedł do wanienki.

— Nie szkodzi, trafi gdzie trzeba — powiedział hrabia
Pac. — On jeszcze sam przed nocą poprawi ułanem.

Ildefons Korsak, który cały czas obserwował bacznie sok
ogórkowy ściekający ze stołu, zaśpiewał nagle pierświowym
głosem:

Parachodzik idźtot wiemi parami:

Budim rybu kormit kamisarami.

— Cśś — syknęła pani Malwina — czy ty stoć głowy do
kanawy spad!? Matko Przenajświętsza, on pewne znowu
choreńki. U niego kiszeczki jak u okonia. Ledwo wypije
kieliszczek, już na niego jakaś mistyka przychodzi.

— Dobrze śpiewa. Niech śpiewa — rozkazał partyzant.

— Nie! Broń Boże! — krzyknęła pani Malwina. — Ach

tach piszą?

Milczeliśmy niepewnie, wreszcie partyzant mruknął:
— Hrabia jeden czyta. Niech on powie.
— Ostrzegam, że nie jestem hrabią — poczerwieniał Pac. — Czasem czyzytam, jak wpadnie przypaadowo dodo ręki.
— Nie krępujcie się — rzucił sierżant Główko. — Gazety, z przeproszeniem, można czytać.
— Wszystko po staremu. Znowu wystrzelili sputnika.
— Kto? — spytał Główko.
Hrabia zamrugał oczami:
— Rosjanie.
— Aaa — rzekł z aprobatą sierżant.
— U nas na wschodzie, panie, też był taki jeden, kowal Hołobla. Ach jaki zdolny, jaki uczony, po trzydzięści worst ludzie do niego jechali. Mógł, panie, odrynąć ze złota pobudować, a on, panie, nie i nie. Ciągłe tylko przez takie wielkie okulary po nocach na księżyc patrzył, w dzień, panie, kuł i kuł bez chwili odpoczynku. Taką maszynę stroił wielką ja stodoła.
— No i co? — wtrącił się sierżant.
— No i znikł jednej nocy.
— Pewnie poleciał na księżyc? — spytał szyderczo partyzant.
Malwina Korsakówna spojrziała nań z powagą.
— Może i poleciał, jeśli to w ludzkiej mocy.
— Ech, ciemnota — rzekł niepewnie Główko.
— A cóż my tam wiemy, co było albo co będzie? Mało to bywa, że zjawi się dziwny człowiek między nami, pożyje i znika bez śladu. Pamiętam, u nas pod Ejszyszkami...
— Daj pani spokój przed nocą — wzdrygnął się sierżant. — Lepiej wypijmy.
— Co też nasza Regina teraz robi? — westchnęła Korsakówna. — Może gdzieś daleko pojechała, do obcych krajów, może już wielką panią została.
— Wypijmy — powiedział partyzant.
— Dobra to była kobieta i jaka piękna. Wszystko u niej na miejscu i tak trzeba. To nie to, co te dzisiejsze. Idzie taka, panie, i nie wiadomo chłop czy baba.
— Wypijmy — powtórzył chmurnie partyzant.
— Widać tak było sądzone. Może kiedyś o niej posłyszemy, da Bóg.
— Wypijmy — rzekł jeszcze raz partyzant, lecz nie pił, zapatrzony w mętną szklankę z rozhuśtaną wódką.
Wychyliłem ukradkiem swoją miarkę i było mi dobrze. Myślałem, że drzemię w domu rodzinnym przy gorącym piecu słuchając przez płytki sen, przez wąskie dukty jawy, pogwarek wieczornych.
— Dzieci lecą — krzyknął naraz hrabia.
Sierżant Główko zaskoczony zrzęcznie skoczył znowu za kredens z niedopitą szklanką. Walczył tam z przyspieszonym oddechem i widać było, że rychło zakaszle.
— Tata jest? — spytał chłopczyk.
— Idź spać, dzieciątko — rzekła ze słodyczą pani Malwina. — Gdzie wam, biednym, badziać się tak po nocu. Masz tu gościniec, ogóreczek tegorocznego kiszenia.
— My już po kolacji — rzekł chłopczyk.
— Idź, idź, co dobrego zginie, ale tata się znajdzie.
Dzieci wybiegły. Sierżant Główko wrócił do stołu naburszony. Odstawił szklankę.
— Pani jak ze wschodu, to pewnie myśli, że wszystko wolno.
— Tak powiedziałam, bo z dziećmi trzeba umieć, dziecko swój rozum ma.
— Ale to jakoś nieładnie.

Na stale bliny, pod statom kasza:

8) Nie dumajcie Zydy, czto Rassija wasza

8) E. S. Jabłoczek, kuda katisz ma?
Papadion v GPU, nie waszissia

—
Podszedłem do okna: tylko w niektórych domach chybo-
wały płomyki świec.

Otworzyłem drzwi wiodące na werandę, która kryta by-
ła czerwoną blachą. Deszcz łomotał tu z całych sił o dach
niski, będący zarazem sufitem. Mogło się zdawać, że nad-
chodzi wiosna z porywczymi ulewami. Ale chłód dokuczli-
wym swędzeniem wspinał się po nogach, szyby od we-
wnętrznej strony okrywała gruba warstwa potu.

— Zobaczą tylko, czy ona czeka — powiedziałem sam
do siebie.

Gdzieś w gęstej od deszczu nocy zadudniło jak prze-
jeżdżający pociąg. Brzęknęły cicho szyby, drgnął stół. Zna-
lazłem w kącie płaszcz i wyszedłem przed dom.

Dokoła świergotały liczne strumyki ściekające śpiesz-
nie ku drodze wypełnionej zimną breją. Uniosłem twarz
ku górze, łowiąc ustami gęste krople deszczu. Piłem gorz-
ką wodę smakującą kamieniem, powoli wracała trzeźwość.

Ruszyłem w stronę rzeki, która huczała niczym miłn
wysoki do samego nieba. Ledwo minąłem kolej, gdy spo-
strzegłem przed sobą coś na kształt snopka słomy pędzo-
nego wiatrem.

— Kto tu? — spytałem. — Kto idzie?

— Ja — odezwała się niewielka postać. — Ojciec Ga-
briel.

Oświetlił latarką siebie i zobaczyłem ceratowy płaszcz
do samej ziemi, śpiczasty kaptur, a w jego wnętrzu infan-
tlną, pomarszczoną twarz zakonnika.

— Chyba raczej Archanioł Gabriel — powiedziałem.

Zaśmiał się skwapliwie.

— W razie czego prosimy pana do nas, my wysoko, tam
woda nie dojdzie.

Nagle uczyniło się przeraźliwie jasno i grom z ciężkim
stęknieniem zarył się w Borze Soieckim.

— Dziwny rok. Mówią, że to ostatni — rzekłem, kiedy
się uciszyło.

— Czekają tak od wieków — powiedział zakonnik. —
Każde pokolenie miało wyznaczony swój dzień sądu.

— W moich stronach rodzinnych Żydzi ostatniego dnia
roku według ich kalendarza gromadzili się po bóżnicach
i modlili całą noc. Dzień ten nazywał się sądnym dniem.
Do dziś pamiętam ten płacz, tę rozpacz, to przejmujące
upraszanie Boga o prolongatę.

— Niech pan przyjdzie do nas któregoś dnia. Pokażę
panu ich piękne naczynia liturgiczne i stare księgi. Oca-
łało coś niecoś z wojny.

— Oni tu mieszkali?

— Jednego dnia Niemcy wywieźli do Podjelniaków
i tam, pod tą górą zamkową, rozstrzelali wszystkich bez
wyjątku. Stało się to późną jesienią, może właśnie w sądny
dzień.

— Nie spotkałem tu żadnych śladów.

— Był ich cmentarz wiekowy, ale zbrano go i zabrono-
wano, dziś już nikt nie odróżni nawet miejsca.

— I nic nie zostało z ich życia?

— Czy coś zostało? — powtórzył zakonnik. — Chyba
tylko ten bór, ta rzeka, te wzgórza, na które oni patrzyli.
Znowu łysnęła zielonkawa błyskawica, czekaliśmy, aż
porun wynajdzie sobie wreszcie legowisko.

— Niech pan przyjdzie do nas — powiedział zakonnik.

— Wszyscy mówią do mnie w ten sposób.

— Słucham? Nie rozumiałem.

— Nic ważnego. Dobranoc.

— Proszę uważać. Rzeka wzbiera. Rankiem dojdzie pod
kolej.

— Dobranoc.

Soła huczała w ciemności. Kuśtykałem z wyciągniętymi
przed siebie rękami naprzeciw tym odgłosom dartej żyw-
cem ziemi. Tak wszedłem między nagie drzewa sadu szar-
pane wiatrem. Poszukałem wzrokiem białej wiśni, lecz jej
już nie było. Jesienny deszcz odarł kwiaty.

*Podczas
obserwacji*

Vla

— Kopnąłeś mnie, Romuś.
Uśmiechnął się sennie, lecz oczy pozostały nieruchome.
— Ja? Pana?
— Tak, kiedy przyszia powódź.
— Nie rozumiem, o czym pan mówi.
— Koło pustego domu. Kopnąłeś mnie i Szafira.
Jedną dłonią turlał po stole ciemny wałeczek z chleba.
— Szafir od dziesięciu dni leży chory — powiedział. —
Bardzo ciężko chory.
— Romuś, kręci mi się w głowie. Co ty mówisz?
— Mówię, że Szafir nie wychodzi z domu. Kiepska jego
sprawa.

Zacząłem trzeć ręką odrętwiałe czoło, chcąc sobie coś
koniecznie przypomnieć.

— Trzeba do niego zajść. Muszę mu coś koniecznie po-
wiedzieć, rozumiesz, Romuś.

— Niech pan tam nie idzie. Teraz nie wolno.

Pani Malwina poruszyła się na taborecie.

— Ach, Boże, jaka cisza, aż przeciwnie słuchać. Męż-
czyźni, no, mężczyźni, zaśpiewajcie albo powiedzcie coś we-
sołego. Taki dziś szczęśliwy dzień.

Siedzieliśmy bez ruchu w okopconym świetle małej za-
rówki. Wiatr szamotał się za ścianą, czasem wrzucał przez
otwarte drzwi garść rozmiękłych liści. Pod kapotą torowe-
go dawał znać o sobie Ildfons Korsak przejmującym bur-
czeniem żołądka.

Sierżant Główko zebrał się w sobie i wstał z najwyż-
szym trudem.

— Merci — rzekł. — Aż strach do domu wracać. Ech,
życie, życie.

Postać niepewnie, jakby oczekując naszej interwencji,
a potem ruszył chwiejnie w stronę drzwi. Po kilku pró-
bach wydostał się wreszcie w ciemną, dżdżystą noc.

Wychodzili kolejno wszyscy, ja także wstąpiłem w mrok
pełen chłodu. Odnalazłem tory i wlokąc prawą nogę wzdłuż
szyny poszedłem pewnie w stronę domu.

Wkrótce jednak ktoś mnie dogonił. Skulona postać szła
jakis czas bez słowa.

— Romuś? — spytałem.

— Proszę bardzo. Fatalna noc. Znowu Soła przybierze.

— Nie to ja, partyzant. Można z panem?

— Mh — mruknął myśląc o czym innym.

Maszerowaliśmy długo, odwracając twarze przed wia-
trem, który ostro ciął lodowatym deszczem. Wreszcie, tuż
przed miasteczkiem, partyzant stanął nieoczekiwanie.

— Mam do pana jedno pytanie — rzekł.

— Słucham.

Czułem, że się waha i namyśla, jak by ułożyć słowa, któ-
re chciał wypowiedzieć. Krople deszczu bębniły bezwstydn-
ie na naszych odkrytych głowach. Zimne strugi ściekały
po włosach za kołnierz. Wzdrygnąłem się i zwilżyłem języ-
kiem obrzmiałe, kostropate usta.

— Czy pan wierzy, że ja jestem Żyd?

Ruszyłem przed siebie. Szedł za mną dokładnie po moich
śladach i czekał na odpowiedź. Skręciłem w lewo, na dro-
gę, która wiodła do domu.

— Niech pan odpowie — rzekł cicho.

Zatrzymałem się raptownie. On stanął o pół kroku prze-
de mną.

— Ja też jestem Żydem — powiedziałem.

Zaśmiał się nieszczerze.

— Pan żartuje. A ja pytam poważnie.

— Jeśli pan się zastanowi nade mną, to zrozumie, że nie
żartuję. Jestem Żydem, bo nie mam swojej ziemi, bo tu-
łam się z miejsca na miejsce, bo nikt nie rozumie mojej
mowy, ~~bo można mi napluć w twarz~~ jestem Żydem, bo
można mnie bezkarnie ukrzyżować na każdym przydroż-
nym słupie telefonicznym.

Stał czekając, że jeszcze coś powiem. Gdzieś w górze,
za klasztorem, szumiał wzniośle las. Uderzenie deszczu
przegrodziło nas raptownie. Odwrócił się i poszedł w noc
swoją drogą.